

ILUSTROWANY TYGODNIK POLSKI

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE, SZTUCE I SPRAWOM BIEŻĄCYM.

R. I.

KRAKÓW 12 GRUDNIA 1915

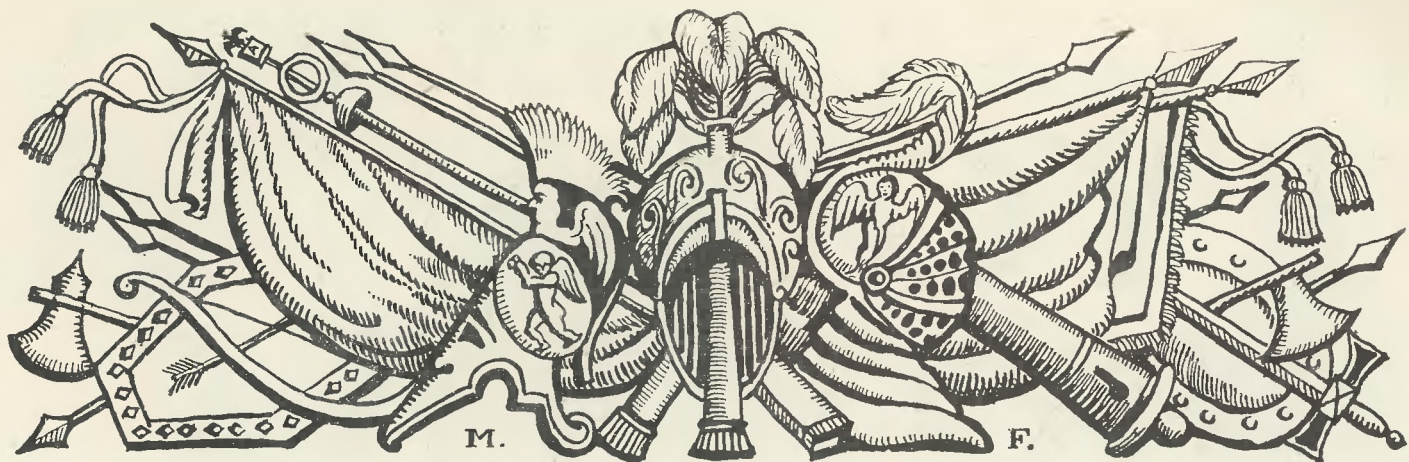
NR. 20.

Z ALBUMU LEGIONÓW.



Przemarsz przez Jastków.

Fot. T. Langier.



O ŻOŁNIERZU I ŻOŁNIERZACH.

Już w okresie formowania się drugiej Brygady, w czasie po sierpniowym manifestie N. K. N., wszedł w legionowe formacje ciężkim a potężnym krokiem chłop polski...

Skąd szedł? Zewsząd, z kraju całego. Wszystkimi porami w Legion wsiąkał. Od Podhala może i w tysiąc, może i w więcej ludzi przyszedł, z Krakowskiego, z Mazurów ścigał nieznacznie a stale. I rósł tak Legion na pół chłopski, rosła druga Brygada... Ilu ich tam tych chłopskich synów zrazu było, któż to dziś policzy!

Nieszczególna — jak wszystko prawie, prócz wojennej ohoty, szwankujące — była zrazu u nas ewidencja; nie wszystko zapisane, nie wszystko zliczone...

Wszedł raz chłop-legionista w drużyniaką kompanię, to za drużyniaka się miał, to samo w strzeleckiej czy sokolej. O pochodzenie: z miastas ty czy ze wsi bracie — nikt się go nie pytał, bo i co komu z tego czy do tego? Bij się tylko żołnierzyku polski, a reszta już się sama znajdzie...

Jedni tylko Podhalanie w dwóch góralskich, przez podpułk. Minkiewicza przyprowadzeni i Ślązacy z organizatorem swym por. Przepilińskim w jednej śląskiej kompanii, fizyognomię zachowali wyraźną. Reszta się jakoś zrazu zatarała — i dopiero w boju, w ogniu walki odcinać zaczęło się dosadnie to, co chłopskie, od tła ogólnego... A może i przeciwnie było, może na tem krępkim tle chłopskiem reszta zarysowała się jakoś... inaczej. Może... Faktem bo niezaprzeczonym pozostanie, że to wszystko, co zrobiły Legiony, to wszystko, co w działaniu ich jest szarym, ciężkim trudem codziennym, co wymagało sił fizycznych aż do ostatnich krańców możliwości napięcia, że to wszystko robił ten szary nasz ludźk żołnierski, robili w sporej przewadze chłopscy synowie w pięknej emulacji z resztą tych, co z innych sfer — nieraz tylko trud fizyczny z opowiadania znających — wyszli.

Biją się pod Szigetem, Pasieczną, Mołotkowem, Rafajłową, Zieloną, Maksymcem, Nadworną, Maniową, Bohorodczanami i — w dziesiątkach walk innych... Biją się jak lwy... i drogę Legionów oni trudem swym i potem w górach, po urwiskach, w najgorszych budujących warunkach... Cała kampania II-giej Brygady tą chłopską zawziętością i tem męstwem i tem szafowaniem krwi chłodnem a spokojnem naznaczona — a przykładów... Przykładów, gdy chcecie, tysiące...

Ot, starczy choćby może ten moment piękny, gdy pod Pasieczną dwa wszystkiego podhalańskie skalne plutoniki chłopskie — w stokilkadziesiąt ludzi — nie zawały się ani na chwilę i pod komendą wówczas porucznika Minkiewicza, stawily czoło przez cztery go-

dziny tysiącowi kozaków i pół baterii, dwom armatom rosyjskim... Tam legionowy żołnierz, tam chłop polski w drugiej Brygadzie chrzest ognia brał, tam się kul nasłyszal — ale i wroga wyparł — hej!

A przeglądajcie listy strat naszych, ile nazwisk chłopskich, tyle śmierci pięknych, z karabinem w rękę...

I listy odznaczeń...

Kto zaś powie, że jest w Brygadzie drugiej rodzaj broni ekskluzywny, zgola nie chłopski — kawalerya, ulani nasi, — nie wiercie temu...

Niech wam opowie potem szarżę rokitniańską, przesławną i niech powie jak zginął na okopie Majda Michał, jak padł od kul Szysz Mikołaj ode Stryja i jak śmiercią rycerską legł syn chłopski Janiszyn Józef.

Bo oni, ci synowie chłopscy, są wszędzie; są jako siła muszkułów prężących się pięknie: na placówkach czuwający po nocach bezsennie i sztuką wojowania tak przejęci, że chłopska wedeta przez patrol zaskoczona wali się na ziemię i przycażona, nad siebie placówce do Moskali strzelać każe, tym sprytem i chytrością siebie ratując i placówkę...

Są w linii bojowej — a jako patrole suną naprzód odważnie, w ogniu, i aż w okopy wrogie podlażą...

Są wszędzie... Gdy przy rzecznej przeprawie komendantowi koń tonąć zaczyna, syn chłopski Długosz w nurt wezbrany skacze i komendanta z opresyi wybawia. Inny zaś, Masłowiec, gdy pod Pasieczną, w grudniu, w nurt rzeczny mała nam nasza armatka górską wpada, skacze za nią i z lodowej wydobywa wody.

Tacy są chłopci nasi w Legionie — a męstwa, ofiarności, bohaterskich zgonów przykłady, liczyćby można w nieskończoność... Powiedzą kiedyś o tem wszystkim kroniki pułkowe; powie Legionów historia.

Dziś stwierdzić wypada tylko jedno i to właśnie, że po raz pierwszy w wszystkich walkach naszych zbrojnych, wystawiliśmy armię ludową... To, o czem marzyli Kościuszko i Dąbrowski, o czem śnił rok trzydziesty-pierwszy, a czego nie osiągnął sześćdziesiąty-trzeci, to zdziałał manifest 16-go sierpnia tysiąc dziewięćset czterenasłego roku — ostateczny wyraz pracy poprzednich lat kilkudziesięciu...

Politycznie uświadomiony pospieszył lud, chłop polski w legionowe szeregi, tak jak pospieszyły wszystkie warstwy inne... I dlatego to trudno dziś naogół czyny jednego żołnierza od drugiego oddzielać, by mówić: to chłop a to nie chłop zrobił. Poprostu co Legion zrobił, to męstwem, wytrwałością, niezachwianiem się w mrozach, marszach i głodzie zrobili żołnierze Legionu — to wszystko zrobili także i chłopci!

— — — — —

Chłopi są dziś większością Legionu — ale początek jemu dały miasta... Z miast wyszły te kadry pierwotne, wyszła ta rama, dziwnie podatna a silna, w którą wrosła cała militarna nasza organizacja.

Z miast; ze Związków strzeleckich najpierw, jako że najliczniejszych, potem z Drużyny, ze Sokoła wreszcie...

I dały nam miasta co dać mogły najlepszego. Kwiat swej młodzieży: uczniów z ław szkolnych i młodzież rzemieślniczą. Stare to i znane dzieje; powtarzać ich chyba nie trzeba... Podkreślić może chyba, że to dziatwa prawie szkolna, ci chłopcy od lat piętnastu do siedemnastu — dziś już w boju o rok starsi — chluba są naszą i dumą...

Niepróżno ich przez rok smagały wiatry, a świst kul im bywał dzienną i nocną muzyką; niepróżno śmierć im tysiąc razy zaglądała w oczy, a marsz nużący dech ostatni im z piersi wypijał...

Twardzi się zrobili w tem życiu i męscy; dzieciństwo precz poszło, a młodość przyszła i górna i chmurna, młodość, o jaką generacye się modliły i wymodlić nie mogły...

Co słabsze, odejść musiało... Takie już prawo wojny i konieczność taka bolesna... Do domów, z żalem żegnając boje minione i przeżyte, — część powróciła; część zaś, niestety, na cmentarzach Legionów została... I to byli bohaterzy — najwięksi może, z tych, co siłę na zamiary brali...

Została reszta i ta w boju i trudzie naprzód idzie, ta kwiatem jest Legionu... Z nich, gdy kiedyś w dom powrócą, gdy kiedyś na nich kolej kształtowania życia przyjdzie, ludzie cali, ludzie czyu, działania i mocy się staną... To zrobi z nich szkoła wojny twarda a codzienna, szkoła posłuchu i trudu i myśli ofiarnej — w której nauczyli się wszystkiego...

Ci to są, którzy Legionowi królewski iście dar myśli i ideologii górnej codzień niosą w dani; którzy codzień wśród burz i przeciwności, wśród zapomnienia w kraju kuszącego dusze nasze rozpaczą i zwątpieniem śmiało w górę niosą sztandar nadziei i wiary...

Z tęsknot ich młodzieńczych, z ich porywów serdecznych płynie ta wstęga poezji, którą się Brygada opłotła i dzięki której trwa i trwać będzie, gdziekolwiek ją losy rzucą. Bo choć:

*„Tęsknimy ku wam, strzechy wy prostacze,
W czerwonym słońcu, ognistym roztopie;
My umęczeni żołnierze-tulacze
O was tu myślim i marzym w okopie“*

to przecież z tęsknot tych nie słabość płynie żołnierza, ale siła jego większa jeszcze, każdy trud, każdą mękę,

każdy zgon jako jeden jeszcze, a konieczny dar, licząca dla Ojczyzny...

Bez nich, bez tych chłopów serdecznych, ongiś ru-



Szlakiem Legionów; Stare figury przydrożne z r. 1613 w Gofubach przy szosie Kowel - Łuck

Fot. T. Langier.

mianych i białych, Legion byłby może wojskiem, ale nie byłby Legionem... W nich zaklął się czar i urok naszej armii małej — oni są duszą jego i uzupełnieniem muskularnej siły...

W boju narówni idą z innymi; w tyłu miesiącach trudu i znojęw hartu już nabrali — ale tam, gdzie w drobiazgach myśl twórcza pracować zaczyna, tam już są oni — jedyni... Ileż patroli śmiałych, ileż wyprawek drobnych i sprytem i pomysłem szczęśliwie do końca doprowadzonych...

Tych daly nam miasta najpierwszych. Z nich korpusu oficerskiego część spora, i prawie cały podoficerski wyrósł — oni Legionowi życie dali i całą jego fizyognomię: oni są tymi, których się widzi na zewnątrz, oni z obrazów mówią i z fotografii i z tej poezji, która Legiony od początku otacza... oni... „synkowie mamini...”

I naprawdę — możesz być Matko dumną z Twego syna!

A po nich przyszli w Legiony inni jeszcze... Przyszli ten bezimienny, nieznanym lud miejski; te prawdziwe dzieci miasta i ulicy... Przyszli i przychodzą w dzień każdy — błądzi, wyrosnięci nad miarę, lub pracą do ziemi przygnębieni, a wojna bierze ich w swe tryby nieubłagane — i żołnierzy z nich robi, rycerzy Polski wstającą...

I snują się po okopach naszych te „lwowskie” i „krakowskie” dzieci, z śmiercią koło nich się uwijającą za pan brat sobie chodząc... Abo im to straszna ona!

Warsztaty sobie jubilerskie po swoich „willach” poczynili i z aluminium pierścionki robią a piłują... Metal potrzebny „pospieszną pocztą” przysyłają im na szrapnelach Moskale. Niech tylko szrapnel pęknie, to już niczego innego taki nie nadśluchuje, a gdzie „zegar” warcząc poleci — i gna za nim i bierze, choćby z ognia najgorszego, bo potem „fabryka” znowu dalej idzie... A za granatem, gdy gdzie w miękką glinę wpa-

dnie i nie eksploduje, z lopatkami na wyścigi gonia i ziemię za nim choć i na pół metra grzebią, mimo, że granat nicpołem, bo aluminium na nim zgola niewiele...

Gdy zaś za grzebiącymi szrapnel czy granat przyleci, to przycupną gdzieś i za chwilę dalejże za oboma szukają. Ale zdarzy się czasem, że Moskale nie chcą dobrowolnie „aluminium dawać”. Wtedy poprosić ich można, a nie odmówią. Robi się zaś rzecz tę tak prosto:

Dołeczek się w ziemi kopie i ogień rozpala z drzewa, ile możliwości mokrego — wyszukawszy sobie ile możliwości najlepszy „dekunek”. W powietrze wzbija się wysoki słup czarnego dymu stanowiąc cel dla artylerii wymarzony i alarmując oczywiście przedewszystkiem... komendę własną.

„Z pulku” przybiega oficer:

— A wy tu co robicie?!

— My... czekamy panie poruczniku, aż wpuści...

— Co „wpuści”?

— Sznaprela — panie poruczniku — bo nam już na pierścionki wyszło...

Nie rozśmiać się trudno, ale ostatecznie na rozkaz ogień gaśnie i „sznaprela nie wpuściło”... Został jednak jeszcze jeden przyczynek do charakterystyki owej niesłychanej pogardy śmierci żołnierza legionowego, kwe-



Pozycja artylerji na Wofyniu.

Fot. T. Langier.

stye życia traktującego wprost z dzieciną jakąś a zarazem jakże piękną i dumną nonszalancją...

W tem tkwi siła i moc Legionu — tkwi ta potęga bojowa tak wielka i imponująca, że Legion zdolny jest przez nią wchłaniać w siebie i przyswajać sobie nietylko te coraz to nowe własne, z kraju przychodzące, pod względem wojskowym surowe jeszcze żywioły; — ale i przydzielonych nam — obcych bądź co bądź oficerów — przez podziw niemal nierozzerwalnie z sobą spaja i z ust ich słowa podziwu dla siebie wydobywa.

Wystarczy może wspomnieć słowa kapitana Towareka, szefa sztabu naszej Brygady, który zapytany co sądzi o Legionie, odparł poprostu:

„Legion — to nie wojsko — to gwardya“!

Legionista nasz ma, by tak powiedzieć, dwie fizjognomie, zgoła odrębne: bojową i tę drugą „z za frontu“... Ktoby z tej drugiej sądzić chciał, krzywdę by mu ogromną wyrządził — ona jest tylko wynikiem pewnych braków i wad wychowania wojskowego, braków wynikłych z pośpiechu, z jakim żołnierz ten w ogień poszedł... A w ogniu to żołnierz nad żołnierze. To, co się nazywa dyscypliną ognia, w lot pojął i zrozumiał... drobny, niepozorny nieraz, tak się zahartował i do boju przysposobił — że w marszu do najwytrwalszych na-

leży... Brak wszelkiego lęku przed śmiercią — w tyralierze czyni go niezrównanym. Spokój go cechuje i krew zimna... W bitwie pod Witelówką z dziewięciu dział pięćdziesiąt salw biło w jedną jedyną kompanię dziesiątą, a mimo strat bez wahania się choćby chwilowego naprzód szła...

Komendy prawie nie potrzebuje; co robić sam wie i orientuje się doskonale; w patrolowaniu mistrz — w ogniu karabinowym wręcz straszny... Strzelec nie każdy doskonały — ale co do ilości strzałów, a w tej masie i skuteczności, dziesięciu karabin maszynowy zakasować potrafią. Wytrwały: kiedy go karpackie mrozy nie zjadły, tesame mrozy, które Rosyan tyle strat kosztowały — to widać zasób energii i wytrzymałości nie mały być musi.

Takim w boju jest i na pozycyi; ale kiedy się w nim nerwy zmęczą, kiedy już z sił opada, wtedy z linii, na czas krótki, dla wytchnienia do trenu idzie... Tu z natury rzeczy następuje reakcja — i robi się żołnierz nasz czasem do żołnierza niepodobny. Stąd bolesnych nieporozumień setki i przykrości tysiące. Brak tresury, brak dyscypliny zewnętrznej staje się powodem niezliczonych rekryminacji władz... Papiery się zapisują, foliały rosną — a rzecz cała w tem, że czasu nie było legioniście naszemu, zewnętrzną żołnierza dać powłokę... Bo kiedyż?

Wiktor Mondalski.

A W Y S Y N O W I E K I E D Y Ś N A S I ..

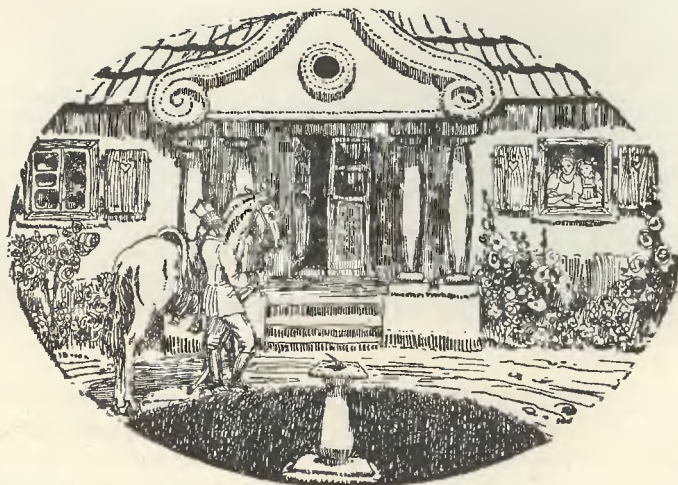
*A wy synowie kiedyś nasi,
co orać ziemię tę będziecie,
którą dziś krew ojcowska krasie
i broni naszej pstrzą rupiecie,*

*Gdy wynijdziecie z pługiem w pole
rankiem, w skowronczych pieśni bicie,
by pchać swą ciężką, polską dolę,
o nas wy tam nie zapomnicie!*

*Na szczerem polu, tam stać będą
naszej ofiary twierdze silne,
dla Was owiane już legendą,
te krzyże nasze, nadmogilne.*

*Na jakimkolwiek zrębie stanie
przyszłości gmach — tam w polu szczerem
jest wam oddane przykazanie:
By żyć i ginąć bohaterem.*

Tadeusz Szantroch



Z OPOWIADAŃ LEGIONISTÓW.

KIEDYŚMY SZLI W LUBELSKIE.

I.

Od kilku dni byliśmy bezdomni. Po ataku tarłowskim pożegnaliśmy lewy brzeg Wisły, rozłączyliśmy się z korpusem. w którym mieliśmy swoje miejsce, historię, krwią i trudami zdobyte imię. Ostatnim gestem — atakiem na reduty pod Tarłowem przypieczętowaliśmy braterstwo broni i poszliśmy na drugą stronę w lubelskie, gdzie nie brzmiał jeszcze nasz śpiew, naszych orłów i szarych kolumn nie widziano.

Bezdomne, chwiejnym krokiem, z muzyką na czele płynęły bataliony nad rzekę. Po lasach sosnowych i jarach sandomierskich leciały dźwięki marszów i pieśni, szczęk rynsztunku i broni wiernej gwar. Tabory podążały leniwie, tumanami szarego, błękitniejącego kurzu osnute, zgiełkliwym pogwarem i skrzypieniem wozów niesforem brzęczące.

Ulicami wsi i miasteczek podążały szeregi, budzone w takich uroczystych chwilach marszem, tym najstarszym i najbardziej naszym — strzeleckim. Nogi się przeżyły, wpadały w jednej chwili w dziarski, paradny rytm, piersi się wznosiły. Czwórki równiutko, w odmierzonych odstępach, bajecznie kryjąc, wiązały się w kompanie i bataliony. Tylko oczy

czastej wieży zagrają i wyjdzie ksiądz pod baldachimem z procesją, wśród chorągwi, świec i feretronów, jak przed laty. W marszu mijaliśmy tak wsie i miasteczka sandomierskie.

Szmat drogi pozostał w tyle, szeregi okopów, po-



Orkiestra 1. Brygady.

każna liczba pobojozisk i cmentarzy. Doli żołnierskiej, z tej cichej i przyziemnej, powszedniej smutnej orki i bitewnej, rozgłośniej sławy zamykał się któryś już z rzędu rozdział. Ziemi naszej, z każdym żołnierskim krokiem szerszej i droższej, rowami zrytej i poszarpanej, ostatniem serca uderzeniem umiłowanej, nie-ludzkim trudem i miłością bezbrzeżną całowanej ziemi część Nidą i Wisłą objęta.

Wszystko to było za nami i w nas, gdyśmy jarem stromym pod wieczór w kotlinę nadwiślańską zeszedli. Noc przed przeprawą w lubelskie przespaliśmy w Dębnie.

II.

Skwar lipcowy przestał dokuczać. Bruzdy wyżłobione strugami potu na oprószonych licach zakrzepły. Twarze, jak maski gipsowe, bielały w nocy, rozświetlonej wieńcem pożarów na widnokręgu. Cichy jedno szmer szeleścił w zbitej czarnej masie — szczęk rynsztunku, manierek o bagnety pobrzękiwanie. Kłęby kurzawy, lecące nad kolumnami, przesłaniały gwiazdy. Czarna noc podążała z nami na wschód, uciszała rozgwar marszowy, chłodem pieściła skroń.

Pragnienia ugasić jednak nie można było. Z godziny na godzinę wzrastało, spalając gorączką wargi, gardła i piersi. Z nastaniem nocy zagiął batalionowy wozi-



Okopy nad Nidą.

się śmiały, ku górze na krawędź jaru lecąc, gdzie stały dziewczęta, kobiety uroczyste ciche i chłopcy zazdrośni. Zrywały się z czwórek słowa pozdrowień i powitań hasła. Padaly stamtąd serdeczne, zdziwieniem i radością ośleple echa: „to nasi — wojsko polskie...“ Zdało się, że lada chwila dzwony z modrzewiowej, spi-

woda z beczką i konikiem. Chłopcy szli w milczeniu, rozglądając się za jaką studnią, potokiem, kałużą bodaj....

Dziesięć już godzin podążaliśmy na wschód równoległe do niedalekiej linii bojowej, zaznaczonej szeroką luną na niebie. Marsz z każdą chwilą stawał się gorączkowy, bardziej pospieszny. Nikt nie znalazł celu. Najwymyślniejsze leciały wieści o dywizji, do jakiej mają nas przydzielić, o odcinku, który zajmujemy. Młodzi rekruci oszukiwali zmęczenie fantazją głośnie na temat kwater i żorawi studziennych. Wytrwali i sprytniejsi, obdarzani zaufaniem plutonów, umykali skrycie przed okiem sierżanta w czarną noc, by dopaść gdzie wody i przynieść kilkanaście pełnych manierek.

Kilka domów zamajaczyło. Z okien padały na drogę mdłe smugi światła. Ktoś przyniósł wiadomość, że po domach sanitaryusze pruscy. Byliśmy u celu, jeśli prawdziwe były pogłoski, że dzisiejszej nocy mamy tworzyć rezerwę na odcinku pruskiej brygady. Mijaliśmy jednak, nie zatrzymując się, ich baterie i tabory.

Wreszcie postój. Kompanie zeszyły z drogi na bujną łąkę. Chłopcy legli w wysokiej, mokrej trawie. Adjutant prowadził już kuchnię z gorącą kawą, gdy zerwał nas nagły, ostry głos porucznika: zbiórka! Nikt jeszcze nie zdążył zasnąć w gęstej, miękkiej trawie. Dalej — w tym samym kierunku. Widocznie nagle dyspozycje...



Sieżąc prowiantowi.

Kolumny na drodze zachwiała się i w najgłębszym milczeniu ruszyły. Weszliśmy do wsi. Powitał nas rząd czarnych pni i bezlistnych konarów. Za nim wysterczały kominy z rumowisk i gruzów wśród opalonych drzew. Zagroda za zagrodą taka sama. Upiorna aleja kominów, zgłiszcz i popalonych drzew. Woń spaleni-

znych, swąd dymów. Ani marnego światła, ani najmniejszego szmeru, ani najsłabszego poszczekiwanie psów. I tak kilka kilometrów przez całą długą wieś. Dierżkowice. Zapalała wprawna ręka. Ani jeden dom się nie ostał. Groza wyzierała z perzyn i gruzów, z lasu kominów, z bezludnej, tragicznej tej alei opalonych drzew.



Artyleria 1. Brygady.

Fot. Langier.

Niektórzy odrywali się od kolumn, biegnąc kustudniom po podwórzach. Choć po kompaniach przeleciał szept: — Studnie zatrute!

Szczęśliwi zdobywcy nie zważali. Upijali się zimną, przesłodką trucizną, twierdząc, iż smaczniejsza, niż zwyczajna woda.

Groza i widmo tamtegorocznych walk stało w tej wsi. Byliśmy w okolicy Kraśnika.

Za wsią wypadł około północy postój. W jednej chwili kompania znikła. Chłopcy pokładli się w rowach przydrożnych i większość natychmiast zasnęła. Odtąd zaczęły się coraz częstsze przystanki, które bardziej męczyły niż marsz. Kolumny stawały, nagle zatrzymywane, przyczem czwórki uderzyły na siebie, żołnierze budzili się, by natychmiast przy drodze znów zasnąć.

Coraz bliżej dolatywał trzask pojedynczych wystrzałów karabinowych.

— Maszerować!

Szarże musiały budzić, zbierać i liczyć. Nikogo nie brakło.

— Dziwię się chłopcom. Gdybym nie był kapralem, już dawno spałbym gdzieś w życiu... — szeptał w sekrecie, na ucho komendant jakiejś sekcji.

Gdy o wschodzie słońca pod Wyżnianką skończył się ten najcięższy, 16-godzinny marsz, porucznik z tryumfalną miną meldował kapitanowi, że w kompanii — dzieciarni, jakiej jeszcze świat nie widział — ani jeden żołnierz nie zaginął, ani jeden nie „zmarodował“, by przespąć się w życie, lub sięść na wóz w taborze.

Fot. Langier.

Brygada zajęła wyznaczony odcinek przed wsią Wyznianką, skąd niebawem ruszyliśmy za nieprzyjacielem na północ. Odtąd w marszach, atakach i bitwach sił i dzielności dodawała nadzieja rychłego wkroczenia do Warszawy.

Stanisław Falkiewicz.

KWATERMISTRZE.

— Południe. Postój obiadowy dobiega już końca, jeszcze pół godziny. Przed komendantem pułku staje podporucznik: — Melduję... kwatermistrze zebrani. — Następują objaśnienia o miejscu kwaterunku, — adjutant pułkowy na konia wsiadł, — marsz. — Pojechało przodem pięciu, sześciu, czasem więcej konnych (zależy od ilości batalionów i innych jednostek kwaterujących). Za konnymi przyspieszonym krokiem oddziałek pieszy, zwykle trzydziestu ludzi nie przenoszący. — Poszli. — Za kwatermistrzami w jakie pół godziny rusza kolumna. Ujść trzeba jeszcze ośm, dziesięć, dwadzieścia kilometrów.

Datują się me wspomnienia kwatermistrzowskie jeszcze z sierpnia pierwszego roku wojny. — Odkomenderowany wtedy z kompanii wraz z sanitaryuszem Bystramem Stryjskim i ś. p. Suchodolskim-Chorążym pod komendę ob. Norwida, ruszyłem do Krzeszowic, by przygotować tam kwatery dla mającego w dzień następny przybyć oddziału. Jakże inaczej wyglądał kwaterunek następny w zabudowaniach rządowych z drugiej już strony granicy. A później tyle, tyle wsi, dworów, lasów, które za mieszkania nam służyły. Miejscowi patrzyli na nas różnie. Z początku z ciekawością, zwykle i radością, gdy poznali kto. —

i zaczęli gospodarzyć. Już któryś z młodszych podporuczników zdołał stwierdzić, że we dworze panien nie ma, (pocieszył go drugi, że w szkole też nie ma). Już tamten, baonowy adjutant plebanie na kwatere swego komendanta zajął. Już się innych dwóch przemówiło ostro o chałupy jakieś lepsze, aż adjutant pułkowy gościć musiał. Ten ma robotę największą. Objechać bowiem trzeba miejscowość daną, temu batalionowi ten odcinek wyznaczyć, tamtemu tamten, tu tabor stanąć,



Tabory.

Fot. Langier.



Kuźnia.

Zmieniły się później stosunki, — ale nie wszędzie. Ludność wyniszczona ciągłymi przechodami wojsk coraz nowych, przyjmowała już wszystkich obojętnie — jeśli nie z niechęcią. Każdy z nas jednak przecie ma w zbiorze swych wspomnień czy to dwór jakiś, plebanie, lub co najczęściej się trafiało chatę chłopską, w której przyjęto go sercem i „czem chata bogata“. Nie zawsze, nie wszędzie, ale — i nie rzadko.

Dojechali już tymczasem konni kwatermistrze do wsi

a tam karabiny maszynowe. A nie można pokrzywdzić oddziału żadnego. Inny zaś rachunek kwater w lecie, a w zimie inny. W czas ciepły, to stodoły mieszkaniem wspaniałem, w zimny tylko domy mieszkalne można brać pod uwagę. — Zwykły rachunek: na kompanię chałup pięć, czasem jednak i dwie, rzadko sześć lub ośm. Dostaje więc pluton chałupę lub chałupy swoje i to już jego terytorium. Wszelkie korzyści z niego należą do danego oddziału. Więc jeśli jest siano, słoma, krowa, kury, to pluton używa i błogosławi swego kwatermistrza, jeśli nie, to w obcych chałupach grasuje, co połączone jest z zatargiem z kwaterującymi w nich — i odgraża się:

— Jak nie dostaniemy drugim razem porządnej kwatery, to... — A tak trudno dogodzić wszystkim. Ta część wsi bogatsza, chałupy większe, jest nawet kilka domków porządných, tam znowu grupa zabudowań osobna, na jedną kompanię za duża, ale, jakżeż tu inną rozdzielać.

Pogodził jednak już wszystkich główny kwatermistrz, adjutant pułkowy, już adjutanci batalionowi warty kwaterunkowe w swoich rejonach poustawiali, — jedzie już ordynans naprzeciw kolumny, wraca za czas jakiś z wieścią: — pułk idzie!

Na całą kwaterunkową pracę czasu jest godzina, dwie najwyżej. Trzeba się więc spieszyć — bo nie można pozwolić, by żołnierze, całodziennym marszem znużeni, czekali. Dobrze to jeszcze na równinach, gdzie wśie zwykle gęsto zabudowane, dadzą się dogodnie podzielić, i liczą zwykle czterdzieści do sześćdziesięciu go-

Fot. Langier.

spodarstw (jeśli mniej, to bieda), ale w górach! Słyszysz, że wieś duża, osiemdziesiąt do stu zagród, — cieszysz się, że wygodnie będzie, dojeżdżasz — a tu jedno gospodarstwo o pół kilometra od drugiego, a trzecie na poloninie nad niemi, reszta zaś wsi „tam dalej“.

Jedziesz 8 kilometrów, co dwieście kroków budynek; jest nawet dwór, jest dwie plebanie (wszystko razem nazywa się Ochotnica) — ale ani gdzie zbiórki urządzić, ani wart ustawić i kończy się na czterech chałupach na kompanię. Cały pułk zaś na przestrzeni trzech kilometrów bezmała. Kwatermistrzem jednak być, rzecz przyjemna. Człowiek wejdzie do wsi, zawsze coś łyknie, nim kompania przyjdzie,

bo na pluton mleka, czy jajek, w chałupie za mało, ale na jednego choćby miał apetyt honweda, zwykle wystarczy. I zawsze nie idzie się w kolumnie, ma się trochę swobody i jest rozmaitość. Lubią też chłopcy na kwatermistrzostwo chodzić i są w każdym prawie plutonie „kwalifikowani“ w tym kierunku zawodowcy. Taki spryciarz to i sobie dogodzi i swojej choć sekcji przyjemność i miłą czasem niespodziankę urządzi. —

Ten zawinie się i mleko z kilku zagród skupi, biała kawa będzie na śniadanie; tamten słoninę lub kur kilka wyszpera i bal jest.

Żeby jednak kwatermistrze pamiętali, że to wojna, często wysłani kwater szukać i spoczynku, znaj-

dują nieprzyjaciela i walkę. Na kwaterunek wysłany był, podporucznik wówczas Młot-Fijałkowski, a słynny swój bój pod Czarkową stoczył. Jako kwatermistrz wjeżdżał por. Dąbrowa do wsi, a salwę dostał, nie-szkodliwą wprawdzie, ale nape-wno nie na wiadana (uciekli zaraz kozacy nie czekając na odpowiedź z naszej strony). Kwater też szukać tenże sam porucznik, pułku I-go

piechoty Legionów adjutant, ku Chyżówkom pojechał i skończyło się na wzięciu do niewoli szwadronu ułanów rosyjskich.

I wiele, wiele wypadków podobnych i troszkę innych opisaćby można, ale — już oto pułk do wsi wszedł, już się rozłożyły kompanie na leżach, i skończona już na dziś kwatermistrzów robota, o której Wam napisać chciałem.

Roman Horoszkiewicz.



Szarża I. Dywizyonu I. Brygady.

Fot. Langier.



Ponton kompanii saperów.

EWA ŁUSKINA: BŁĘKITNI

Ksieni z wolna obróciła bladą twarz ku mówiącej. Przed nią stała młoda siostra o dość pospolitych rysach i wyrazie, drżąca cała, wystraszona... Powiadała coś, spiesząc się, płacząc, powtarzając...

Ksieni podniosła się z krzesła. Ona tego oczekiwała dawno.

— Otworzyć klasztor!

— Ależ, przewielebna Matko... regula...

— Za to odpowiadam — ja!

— Klasztor spala... — mamrotała — nas wypędzą...

Siostra chciała jeszcze dalej mówić, ale wzrok przełożonej zamknął jej usta. Skloniła się pokornie i wysunęła z cicha.

Ksieni skrzyżowała ręce na piersiach i stanęła w wązkim oknie celi, otwartem po za kratą w ogród klasztorny. Jesień była. Rdzawa, pozłocista, różnowzora. Z okna wysoko położonego na piętrze widok się stał na obszerny sad owocowy, na łagodnie rozłożone korony drzew, gdzie między mszystymi, pokurczonemi liśćmi kraśniały dorodne jabłka i zwisały się soczyste, pełne, słodczą napelnione gruszki, kształtu małych dzbanów z miodem. Fioletowe, srebrzystą barwą narszczone śliwy mieniły się jak stare ametysty i granaty, ujęte w siateczki srebrnego filigranu. Z góry patrząc, wyglądało to jak rozesłany, flamandzki gobelin. Szarą, spłatnowaną ramę opasywał sad czworobok wysokiego muru, dalej wzrok biegł swobodny na spłowiełe pola, na tęskne równiny, pastwiska obrosłe wierzbami, na drogę białą, wijącą się i ginącą w lesie, co ciemnym, granatowym rąbkiem rysował się na horyzoncie.

Zazwyczaj drogą ku klasztorowi przejeżdżały tylko fury chłopskie, czasem bryczka lub powóz któregoś z obywateli okolicznych. Teraz z pod lasu uderzał widok nieznany. Zrazu był to jakby tuman szary, potem wywinał się z niego jakiś wąż błękitny, i coraz rozkręcał swe zwoje, migoczące niekiedy stalową łuską po piasku drogi. Z wolna zarysował się ciągnący tabor wojska, wozów i koni. Na przedzie jechało paru uzbrojonych jeźdźców, za nimi w obłoku kurzu, wzniecanym grubemi butami, włókł się ciężko niewielki oddział piechoty.

Ksieni silniej zacisnęła blade ręce na brunatnem suknie habitu i hebanowym krzyżu na piersiach. Twarz jej, o czystych i poważnych rysach kobiety, która niedawno ze spokojem pożegnała swe południe życia, pozostała niezmienioną. Tylko ciemne oczy pod białą linią kwefu, jakby zapadły się głębiej i silniej gorzały.

Chwilę jeszcze chłonoła w siebie to widzenie. Potem wyszła z celi na długi, sklepiony korytarz klasztorny, którego biel ścian przerywały surowe świeczniki z kutego żelaza i starożytne portrety fundatorów, z herbem gdzieś w rogu, migotały przyćmionym karmazynem z poczerniałych, złotych ram.

Ksieni zeszała po schodach w dół, gdzie pełno już było zakonnic, bardzo poruszonych, lecz nie wiedzących co począć, z bezradnością istot odwykłych od życia. Przełożona od razu ujęła pewną ręką ster czynności, rozsyłając siostry do piwnicy i spiżarni, do kuchni i do szpitala, zarządzając co potrzeba na przyjęcie owych gości. Zaroił się gmach klasztorny gwarem i ruchem i stał się podobnym do pracowitego ula, gdzie mniszeczki młodsze i starsze upodabniały w swem krzątaniu się skrzętne pszczoły, ożywione ciepłem dotknię-

ciem słonecznego promienia. Ksieni nie było już pomiędzy nimi.

W pędzie jednak ruch ten raptem zastanowił się — i wszystkie jednym wrażeniem pchnięte, znalazły się u okien korytarza, wychodzących na dziedziniec, gdzie na owalnym trawniku w środku zajazdu, spokojnie przekwitwały ostatnie róże w opadających koronach.

Przez dębową bramę, teraz gościnnie na oścież otwartą, wkraczali — oni... Ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało — — Kobiety utaiły dech w piersiach, oczekując, aby oglądać i uwierzyć... W miarę jak patrzyły, w milczeniu zupełnem, na twarzach młodych wybijały się rumieńce, zwiędłe usta starszych poczynaly drżać nieznacznie...

Żołnierze ciężko objuczeni i dyszący, w mundurach pokrytych kurzem i jakimś rudawymi plamami, szli w nieregularnym szyku, uznojeni bardzo. Skoro jednak dojrzeli za szczybami skupione twarze kobiet w białych skrzydłach kwefów, podobne do schwytych motyli — podnosili ku nim głowy w krągłych czapkach, na których przedzie coś srebrnego jak skra świeciło — i wraz tajaly srogie, nieznajome na tak młodych twarzach, brudzy koło ust — w uśmiechu przyjaznym.

Wzrokiem i milczeniem pozdrawiały się te dwa światy, tak sobie dalekie i ściśle oddzielone, budząc refleksy i wrażenia, które w pamięci żołnierzy mignęły zaledwie nikłym epizodem w tej zawierusze przygód, miejsc i zdarzeń, lecz w sercach sióstr klasztornych mają wypalić się najważniejszym, niewiarygodnym wspomnieniem, rozpamiętywaniem nieśmiało w godzinach dumań przez całą resztę życia.

Od strony folwarcznego dziedzińca gapiło się kilkoro służby klasztornej pod wodzą starego karbowego. Na dany znak ruszyli się teraz parobcy odbierać konie i prowadzić ku poidłom i stajniom. Zmęczeni żołnierze obstarpi studnię i wyciągali wiadrami wodę, gasząc dowolnie pragnienie. Jaki taki rzucił się potem jak stał na ziemię i wyciągał jak długi, ten przeszukiwał tornister, a znalazłszy kawałek suchego chleba gryzł go wytrwale ślicznymi zębami, inni, obnażywszy się po pas, chlulali się wodą, parszając jak młode żrebce.

Okna klasztoru tymczasem opustoszały i gmach wydawał się głuchy, jakby wymarły. Komendant rzucił nań parę razy okiem, wreszcie zagadnął starego, milczącego chłopca, który krzątał się koło niego z mieszaniną powagi i pokory, a w siwych oczach świeciło mu coś z rodzicielskiego rozrzewnienia.

— Cóż, ojciec? Nie zawadzamy wam tu bardzo?

Karbowy chrząknął uroczyście.

— Ano... — rzekł z namysłem — powiem wam... tak nam, panie, jakbyśmy rodzonych witali...

— To dobrze! — ucieszył się komendant, klepiąc po ramieniu starego, który schylił mu się do kolan — Ale... chciałbym się zobaczyć z przełożoną klasztoru...

— Z Przewielebną Matką — niby? Ano...

Nie dokończył. Spojrzenie jego zwróciło się w stronę głównego wejścia klasztoru, które z wolna roztwierało się na oścież. Komendant poszedł za nim wzrokiem. Zamilkli obaj.

Moce, w miedź okute, półkoliste podwoje wychodziły na obszerny taras z paru niskimi, kamiennymi stopniami. Z wnętrza wysunęło się powoli kilka, co najstarszych wiekiem zakonnic. Postacie szczupłe, rysy ascetyczne, obciążone skórą żółtawo-błądą jak najde-

likatniejszy pergamin, lub też przeciwnie, małe staruszczyki, złamane wpół, lecz o twarzach dziwnie świeżych, mimo sieci gęstych zmarszczek, w których zagasłem spojrzeniu zachowało się przecież coś dziecięcego naiwnego.

Te postacie średniowiecznego fresku wyszły na światło dnia i ustawiły się w dwa rzędy wzdłuż balustrady tarasu. Wówczas w półkołu odrzwi ukazała się ksieni, w stroju i postawie niewidzianej. Ten sam habit powłóczył z brunatnego sukna drapował jej wyniosłą postać, lecz nad czołem jak mitrę książęcą niosła wysoki kolpak sobolowy, na którym matowo błyskał duży krzyż z mętnych rubinów. Prawa jej ręka, delikatna jak wyrzeźbiona z kości słoniowej, opierała się na wysokiej, hebanowej lasce iście władczyim gestem. Z pod starożytnego klejnotu, gdzie znak zbawienia zdawał się krwią żywą ociekać, ciskając refleksy na białe płótna bramujące czoło, twarz jej rasowa i szczupła, o sokolich brwiach, miała w sobie tyle powagi i mistycznego wyrazu, że tak chyba wyglądać musiała książęca patronka i święta fundatorka klasztoru, do której należały owe insygnia, przechowywane w skarbcu. Przysługiwały one ksieni jedynie w wyjątkowych uroczystościach, a oto włożyła je dzisiaj, na powitanie — tych żołnierzy.

Nastąpiła chwila zupełnej ciszy i zneruchomienia. Zapreszłe owo widzenie oczarowało oczy i serca.

Wreszcie komendant postąpił naprzód i witając ksienię z uszanowaniem, prosił o pozwolenie zatrzymania się w klasztorze na czas jakiś. Zmęczeni są bardzo, zdrożeńi bitwą, z której wracają... Ich oddział wysłano naprzód... konwojują rannych —

Ksieni usunęła się nieco na bok, wskazując ręką otwarte podwoje, za którymi widać było sień i refektarze z długimi stołami, zasłanymi białym płótnem i jadem.

— Cześć wam, żołnierze!... — przemówiła, chyląc głowę.

A gdy milczeli, zdjęci dziwnym wzruszeniem, dodała po chwili, z serdeczną prostotą.

— Wejdźcie drodzy, — i posilcie się...

Komendant złożył ukłon wojskowy.

— Dziękujemy, dostojna Matko. Tylko żołnierze ogarnęli się nieco.

Zapytała jeszcze:

— A gdzież ranni?

— Nadciągają. Za chwilę tu będą.

Ksieni oddała swą hebanową laskę najstarszej z towarzyszek.

— Pozwolicie... — rzekła — że te czcigodne siostry zastąpią mnie przy wieczerzy. Ja muszę — do nich...

Zeszła ze stopni tarasu, kierując się ku bramie.

Równocześnie z malej furty bocznej skrzydła klasztoru wysunęła się lekka gromadka młodych siostr, dążąc za przełożoną. Czekwały dość długo przed otwartymi wrotami, korne jak służebnice.

Zdała turkotały już wozy. Wysokie były, drabiniaste, pełne bogatego utożku z pól. Plon wieziemy, plon...

— „Oto znów dzień krwi i chwały... oby dorem wskrzeszenia był! — zamigotało skrami w mózgu, aż wargi zacięły się skurczem.

Wjeżdżają. Na słomie siedzą i leżą ranni. Siwe mundry, poszarpane od kul i ostrz bagnatów. Tymczasowe przewiązki, zbrukane i przesiąknięte krwią... Błede, wyczerpane twarze, umęczone do cna... Ciężko ranieni leżą na dnie wozów. Niektórzy mają oczy zamknięte i zdają się, jak umarli. Inni, z szeroko otwartymi oczami

w zgorączkowanych twarzach... Cisi byli zresztą wszyscy i obojętni na wszystko. Ci nie witali i nie byli witani...

Ksieni zbliżyła się do wozu, podkładając blade ręce pod skrwawioną głowę pierwszego z brzegu rannego. Za jej przykładem poszły siostry. Miękkie dłonie chroniły biedaków od bolesnego wstrząśnienia przy przenoszeniu do szpitala klasztorowego. Ciężko ranni pomieszczeni zostali osobno, w głębi cichych, czystych, chłodnych cel.

Zmierzył już zapadał, godzina modłów wieczornych, gdy ksieni znalazła się z powrotem w swej celi.

Odłożyła była właśnie na bok kolpak sobolowy i jak pierwszej stanęła w oknie, splatając ręce na łonie. Sylweta jej mroczyła się teraz ciemnym, smukłym konturem na opalizującym tle nieba i lukowego okna, jak postać w witrażu. Odrzuciła od siebie ostatnie znamiona światowej dostojności i samotna, rośnie duchem wyżej.

Sygnaturka kaplicy klasztornej dzwoniła na „Ave“...

Dźwięk srebrny bił skrzydlami, jak wzlatująca gołębica...

Ale spokój nie zstąpił do duszy ksieni. Była w niej jakaś rozterka. Po raz pierwszy od lat nie umiała odnaleźć wewnętrznej harmonii, ani skupić myśli w abstrakcjach modlitwy. Coś z zewnątrz tu wtargnęło, a było razem gorzkością i słodyczą.

W pamięci miała wciąż obrazy tych pokaleczonych dzieciuchów, ich twarze młode, w których szczerych oczach nie można było odnaleźć ani śladu ponurego szalu mordu. Odtajeli wnet z martwej sztywności wśród błękitnawych, bielonych ścian szpitaliku, w cieple starych, przychylnych murów, gdzie przez otwarte okna płynęły łagodne powiewy, a wzdłuż łóżek przesuwwały się cicho cienie kobiet, co są „na świetle jeszcze, ale nie dla świata“.

Lżej ranni, podnieceni gorączką, w której młode lica krasniały jak kwiaty, nie mogli spokojnie uleżeć, siadali na pościeli, opowiadając jeden przez drugiego żołnierskie przygody i nadzieje. Gdy pochylała się nad nimi kolejno, garnęli się do niej, jak dzieci, całując jej piękne ręce, co znały tylko łodygi róż i ziarna różańca. Gorące dotknięcie tych warg czuła na skórze i między palcami, jak niezliczone, palące stygmaty. Przysknęła oczy.

Zapukano nieśmiało do drzwi celi. Na progu stała jedna z najmłodszych siostr, zaróżowiona cała, zmieszana bardzo własną śmiałością. Głosem cichym proponowała... czyby nie można... tym żołnierzom... przynieść owoców świeżych z ogrodu?

Ksieni patrzyła na nią z dobrocią.

— Naturalnie, Siostrzo Marto, zanieś im...

Młoda mniszeczka wysunęła się uradowana. Niedługo można ją było zobaczyć, jak wracała, niosąc w pole habitu obfitość owoców, niby św. Elżbieta owe róże wonne... Spieszyła radosna, ku żołnierzom na dziedzińcu, co właśnie ustawiali broń w kozły i palili ognie biwaków. Niektórzy pokładli się na wznak na trawniku, pod różami, których przekwitłe płatki, lekkie jak śniegowe puchy, sypały im się na czoła, na młode usta i oczy...

Wzrok ksieni odprowadzał ładną siostrzyczkę, nie wiedząc czemu, z jakimś odcieniem litości. Biła fale pamięci... Ona także była młoda i ładna. Była śliczną panną, wielkiego nazwiska a upadającej fortuny. Odziedziczyła całą drażliwość i dumę swego rodu — i wiedziała, iż zgoła niepojętą dla niej rzeczą byłoby za-

ślubienie kogoś, któryby każdą kroplą krwi, każdym gestem urodzonego wielkiego pana, każdą zgłoską nazwiska, nie reprezentował — kogoś jej równego. Pozostawało życie na łasce bogatych krewnych lub klasztor. Wybrała klasztor. Dopomogła jej w tym wyborze, oprócz poszeptu cichej lecz nieugiętej ambicji, także szczerą pobożność, wyssana z krwią i tradycją, która przecież sama jedna nie byłaby jej skłoniła do wyrzeczenia się świata. Ku furcie klasztornej szła tęskna lecz zrezygnowana, żyła za nią lat dwadzieścia, opanowując ciało wielką mocą ducha. Ze spokojem myślała o zbliżającym się zachodzie, w którym już nie mogło być żadnych burz.

Aż dzisiaj! Cóż to zaszło takiego? W ciche mury wtargnął żywy zastęp tych, co synami jej być mogli. Ksieni zbladła i zagryzła wargi. Nie! to nie to.

Nie było przecież żadnego blasku, żadnej pozy rycerskiej w tych chłopcach, prostych, zwykłych, po żołniersku swobodnych. Ujmowali prostotą i ufnością, spojrzeniem oczu jasnych, przeźroczystych, w których myśli wyczytać można było — do dna...

Ale te krople znoju na bladych czołach, to ściągnięcie rysów cierpieniem tajonem hardo, to zamię wspólne, co przyległo do wilgotnych czoł... Był to jakiś wielki dech, co porwał ich jak słabe ptaki i poniósł na tę samą wyżynę, gdzie niegdyś dążyli rycerze w strusich piórach u bark, ze złotymi ryngrafami na piersiach. Oni mieli tylko swe młode życia ze wszystkimi czarującymi możliwościami i uznali za rzecz najprostszą rzucić je w wyzwaniu wszystkiej nędzy i śmierci, z tem samem, nieświadomem, rasowem bohaterstwem, z którego na polach bitew rodziły się kiedyś szlachectwa i wyrastały wielkie rody.

Wieczór już zapadł, ciepły wieczór wrześniowy. Ciemność zatarła pola i drogę, a sad skłębił się w jeden tuman ciemny i wonny. Z nieba siał się świetlisty pył gwiazd, a z dołu biła świeżość rosy i zapachy dojrzalego sadu. Po ciemnym błękitnie przewiał jasny obłok jak połot rozwianego pióra srebrnego ptaka...

Długie jednak chwile upłynęły, zanim przerażona jej dusza odważyła się uświadomić sobie, jakie to tęsknoty pierś jej ucisnęły — uciskiem serdecznym!

Aż osunęła się na kolana jak korna grzesznica, przed majestatem ciszy wieczornej. Uczuła w piersi próżnię, jakby wyjęto jej serce i unoszono od niej zdala, i tem sercem pojęła, iż w tej przyszłości nadzieinnej godzinie pragnęłaby między tymi młodem — mieć syna!

Poczuła się dość silną do zniesienia całego brzemienia macierzyńskiego bólu, gdyby go żegnać przyszło, jak tamtych żegnano, a nawet do oddania go ziemi, na jej chwałę i cenę wolności.

I wszystko jedno zdało się jej w tej chwili, jakim miałby być dach, pod którymby go poczęła, czy słomiana strzecha wiejskiej chałupy, gdzieby go bujną wykarmiła piersią, czy warsztatowa izba, gdzie jako żona pracowitego rzemieślnika uciszałaby płacz dzieci kęsem ciężko zdobytego chleba.

Tak w świętej swej celi, której rygle wszakże zatrzaśnięte były przez pychę, kobieta pojęła w olśnieniu, które uderzyło jej umysł, jakby rozdarcie wielkiej zasłony, — jakie to poczucie bezwiedne kazało jej dzisiaj włożyć na powitanie tych żołnierzy ubogich — sobolowy kołpak książęcy.

Oni wszyscy, w swych siwych mundurach, ginący wśród szarych pól, w karmazynach własnej krwi, — oni wszyscy — są „błękitni“!...

WACŁAW GRABIAŃSKI: FABRYKA.

I.

Zmierzch., wolno biją wieczorne godziny
głos ich uderza o skaliste złoty. [ny...
U stóp mych wielkie, fabryczne kominy
dumnie strzelają ponad senne domy.

Fabryka idzie... zgrzyt kół, stuk maszyny,
żarem buchają ogniście ogrody,
pędzą ku góróm dym skłębiony, siny...
hen! gdzie granitów szczyt majączy stromy.

Gdzieniedzie złote światełko migocze,
czasem gwizd krótki wybiegnie na granie
i ginie echem wśród górskich przetęczy.

Idą spokojnie zasłepy robocze,
bo znak już dano ku wieczornej zmianie.
.....
Kola wciąż warczą... coś płacze, coś jęczy.

II

Świt... na ulicach śnieg srebrzysty prószy.
Miasto śpi... tylko z przedmieść z fabryk
dochodzą szmery, uderza o uszy [stali
szum jakiejś groźnej, rozhukanej fali,

biegnie przez miasto, włącza się do duszy..
...To młot parowy huczy tak z oddali,
jak batwan morski rozbija i kruszy,
z ognistym szatem, z głuchym jękiem wali.

Ozwał się gwizdek... po śnieżnej ulicy,
millecąc, jak cienie, z blaszankami w dłoni
o bladym świetle idą robotnicy,

znikają masą w fabryk ciemnej toni..
Potężne, wściekłe słychać młota bicie,
co głuszy serca, myśl i ludzkie życie.

III.

Zmilkły maszyny, rozbiegane koła
stanęły, dziko, zgrzytnęły łańcuchy,
ochłodziły młotów rozpalone czoła,
nie widać dymów, niby nocne duchy

czernieją kotły... Żaden głos nie woła
rozkazów, znikły robocze fartuchy!
Pustka i cisza łajemna dokoła,
grobowy spokój... Tylko odgłos głuchy

dochodzi zdala od strony, gdzie rowy
strzelnicze w polu, skąd po tysiąc razy
echo przynosi armatniej rozmowy

groźne, przeciągłe, śmiertelne wyrazy..
A młot parowy tu w fabryce stali
rdzą pokryt lica, rdzą, co żre i pali.

EMMA ROSZYŃCÓWNA: IGRASZKI PANA.

(Dokończenie).

Pod samym lasem zastąpiła mu drogę szeroko rozlana, szafirowa kałuża. Należało ją albo przebyć po kostki, a może po kolana w bród, albo obejść dokoła. Rafael przyglądał się wodzie, która zdawała się być płynnym, za lada dotknięciem się końcem stopy łamiącym się w obręcze i koła szafirem, i namyślał się długo. Chodzący po przeciwnym brzegu kałuży bocian z długim dziobem przypominał mu wreszcie nosatego Turka i właściwy cel, dla którego wybrał się do lasu...

Na brzegu lasu zastanowiły go znowu kwitnące krzewy wilczej jagody, których w tym właśnie miejscu gaj był cały. Czarne gałęzie krzaków oblepione były poprostu różowem, gwiaździstym kwieciem. Rafaelowi wydało się, że niebieski, wiosenny dzień, dotychczas nie skalany w swej błękitności, nabrał od ich masy różowego tonu. Ziemię zaścierał zeschły mech o delikatnym, popielatym i zielonawym odcieniu, niby stary, wypłowiwały dywan. Żółte i rdzawe zeszłoroczne liście, tu i ówdzie rozsypane po mchu, tworzyły na tem popielatym tle nikły i przesubtelny deseń. Rafael uszedł kilkanaście kroków. Kwitnący gaj nie kończył się, owszem, gęstniał coraz bardziej. Coraz więcej różowiło się gwiaździstych kiści, cały świat wreszcie stał się od nich różowy.

Chłopak usiadł na zwałonym pniu. Najbliższy powiew wiatru nie poruszał kwietnymi gałązkami. Tylko słońce siało przez nie z góry złote ziarnka blasku i gdzieś niedaleko monotonnie pukał dzięciół o pień drzewny... Prawdziwe święto wiosny. Gdy Krystyna powróci, Rafael zaprowadzi ją tutaj, do tego różowego gaju wiosny i miłości...

Naraz rozległ się huk i suchy trzask jakby walonego drzewa. Nad głową siedzącego chłopca zakrzyczał jakiś nastraszony ptak i wzbił się w górę. Rafael powiódł ręką po oczach i oprzytomniał. Złodzieje są blisko. Gdy się wsłuchać dobrze, słychać nawet ich głosy. Nadsluchiwał chwilę i posunął się w stronę, skąd go głosy dochodziły. Gaj wilczej jagody przerzedził się niebawem. Już ich widzi jak na dłoni.

Rufuła Achmet obalił właśnie krzywego hojaka i siedząc na nim okrakiem, obcierał krople potu, które mu kapąły z końca czerwonego nosa. Czarne kozaczysko porzucił pilę i dla odmiany siekł swoją buczynę szabłą, aż mu szabla zgrzytała. Brodaty Iwanow, bez szynela, oglądał się niespokojnie na wszystkie strony.

Pomianowski, czając się, zachodził Moskali z blizka a ostrożnie. Od strony Lisich jam zachodził ich zapewne tak samo leśnik Kuź. Rafael był już tak blisko, że odróżniał w czerwonej aksamitnej bluzie Iwanowa, pęknięty zapewne w zapasach z wrażą buczyną szew na ramieniu i rozróżniał każdą z osobna frendzlę, zakończającą pasiaty szal, którym kozak był przepasany.

Nagle w głębi lasu coś zakotłowało. Kozak zatrzymał się w pół cięcia, Iwanow przykucał pod bukiem, a Rufuła Achmet podniósł czerwony nos w górę i wietrzył nim dokoła. Przez płową gęstwinę malin z piśkiem i krzykiem, rzucając po za siebie do połowy napelnione chrustem płachty, przedzierały się dziewczęta.

Tu błysnęła czerwona chusta i dała nura, ówdzie pobladła twarz i dwie albo i trzy błagalnie w górę wyciągnięte ręce, tam zawiął w powietrzu, niby chorągiew, kraciasty fartuszek i legł w malinach obok gęsto rozsianych strzępów koszul, spodnic, kaftaników i kosmyków włosów.

Moskale przyglądali się temu wytrzeszczonemi oczyma. Pierwsze wypadły z malin obiedwie Kołodziejówny: Marysi lała się struga krwi ze skaleczonej ręki, a z Jadwisinej szyi kapąły błękitnymi kroplami rozzerwane perły ze szkła.

— Na Boga, kto was pobił? Co wam się stało? dziewczęta?! — rzucili się do nich Moskale.

Dziewczęta przebiegły koło saldatów jak burza i pobiegły dalej. Z malin wyskakiwały jedna po drugiej: Oleśka, Olga z myszką, nastraszony zając i Agnieszka. Agnieszce w malinach została żółta chustka, a żółte włosy do reszty się roztargały, Oleśce przez rozdarty od góry do dołu rękaw niebieskawego kaftanika widniało różowe i krągłe, jakby wytoczone z białego korala, ramię, Olga z myszką śmiała się, jak szalona. Za zającem tylko się zakurzyło.

Za dziewczętami i szarakiem w malinowej gęstwinie, coś jeszcze szamotało się, coś buczało niby bąk i coś znowu piszczalo cienko a żałośnie. Były to stworzenia Boże wzrostu zapewne bardzo mizernego, bo ani jednego ani drugiego w krzakach dojrzeć było niepodobna.

— Olgo... Olesiu... o Jezu! — buczało to w malinach — poczekajcie chwile na mnie, bo mnie złapią. Już wcale oddychać nie mogę... O Jezu!

— Agnieszko, siostrzyczko — piszczalo znowu drugie — nie zostawiaj mnie maleńkiej samej...

Siostrzyczka, nie oglądając się za siebie, zmykała, co jej sił starczyło.

— Upadłam i wstać nie mogę... Teraz mię ani chybi złapią!...

— Pomóż, Agnieszko! Chrustu ze sobą pełniuską płachtę niosę i sama jej udźwignąć nie mogę... Będzie czem palić aż do Zielonych Świątek.

— Już mię łapią! — zaburczało w malinach.

— Agnieszko!... — zapiszczało dziecko przeraźliwie.

Oleśka na głos ten upadła, jak długa, tuż u nóg kozaka, który stał przy wpół zrąbanem drzewie z rozstawionemi szeroko, niby na czarno pomalowany drogowskaz, rękami, lecz w mgnieniu oka porwała się z ziemi i z dobrym animuszem uciekała dalej. Agnieszce reszta włosów spadła na oczy i, do cna oślepiona, uderzyła głową o pień... Olga aż się zatoczyła od śmiechu.

Z krzaków tymczasem wylazła na czworakach, jak prawdziwy owad, biedronka, a za nią wygramolił się biedny pasikonik, ciągnący za sobą ogromną, dwa razy większą od siebie płachtę, pełną chrustu.

Najwidoczniej nie wszystkie polne koniki są darmozjady, albo może niektóre z nich poprawiły się od czasu pamiętnej przygody z mrówką.

— Co ci się stało, Anuszką? — dopytywał się ze współczuciem Iwanow.

Biedronka zdążyła się już podnieść z ziemi i roz-

cierając stłuczone kolano, pokulała, jak mogła najprędzej, za znikającą w zaroślach Olgą.

— Uciekajcie! — krzyknęła mimochodem na gapiających się na nią bezradnie Moskali.

— Uciekajcie! — zapiszczał pasikonik, mocując się daremnie ze swoim brzemieniem, które zaparło się o jakiś korzeń i z miejsca ruszyć nie chciało.

— Czy cię czart opętał, dziewczyno? — wrzasnął kozak. — Przed kim mamy uciekać?!

— Nie czas mi teraz opowiadać!... — odkrzyknęła im biedronka i pokulała dalej. — Uciekajcie, bo was złąpią.

— Uciekajcie — piszczał pasikonik.

— Może, nie daj Boże, Germańcy nas gonią... — szepnął zbladłymi ustami Iwanow.

Rufuła Achmet zaczął strzydz uszyszma, jak zaniepokojony zając.

— Bogdaj ci język spuchł! — zaklął kozak. — Skąd wzięliby się tutaj Germańcy?! Mów, przeklęta, kto nas goni?

Biedronka w odpowiedzi machnęła tylko ręką i znikła za krzakami. Ruch nakazywał jak największy pośpiech.

Kozak chwycił szablę z ziemi i zatoczył czarnymi oczyskami, jak młyńskimi kołami.

— Uciekaj!... — zawył przeciągle na towarzyszków i sam puścił się przodem, przewracając po drodze nieśczęsnego pasikonika z jego brzemieniem.

— Uciekajcie, Germańcy idą... — zaryczał Iwanow i pognął za kozakiem, w aksamitnej bluzie tylko, gdyż nie czas było pamiętać o szynelu.

Po drodze, nie zatrzymując się w biegu ani chwili, chwycił pod jedną pachę brzemień chrustu a pod drugą nadeptanego pasikonika i pobiegł dalej. Widząc to chytry Rufuła, mimo pośpiechu zawrócił, chył się za czub swego chojaka i powlókł go za sobą. Kozak tymczasem przebiegł już biedronkę, minął chichocząc się Olgę i machał równo z Oleską.

Najchyżej, na samym przedzie, biegła Maryska Kołodziejówna i ona też pierwsza wpadła nos w nos na Rafaela Pomianowskiego.

— Panicz! — zakrzyknęła przeraźliwie i uskoczyła w bok ścieżki.

— Panicz! sam panicz... Uciekajmy — wykrzykiwały zatrwożone dziewczęta i skakały jak sarny w zarośla.

— Olga! Olesiu, tędy... Jadwiśka, a ty gdzie? Jezu, spodnicę do dołu rozdarłam! Uciekaj, Anno! — brzmiały dokoła nawoływania.

Panicz ani myślał ich łapać. Stał na środku ścieżki bez ruchu, zadziwiony, pobladły, jakby i jemu udzielił się strach dziewcząt.

— Germańcy idą! Uciekaj, kto w Boga wierzy!... — wrzasnęło mu w ucho, przebiegając obok niego w ogromnych susach, czarne kozaczysko. Przebiegł tak blisko, że frendzle jego szala trzepnęły Rafaela po wierzchu ręki.

— Spasajsia, komu życie miłe! — ryczał tuż za nim Iwanow.

— Uciekajcie — piszczał sobie siedzący mu na plecach pasikonik.

I Rafael, nie zdając sobie sprawy przed kim ucieka,

rzucił się także do ucieczki. Przed nim uciekał z dziećmi na plecach Iwanow. Z boku dzwonił mu nad uchem nieustannie nerwowy uśmiech uciekającej z nim równolegle, tylko krzakami, Olgi i migwały jasne, rozwiane w tuman włosy Agnieszki. Od tyłu następował mu na pięty Rufuła Achmet, który w powtarzaniem po wielokroć przez kozaka i Iwanowa słowie „Germańcy“ dorozumiał się wreszcie niebezpieczeństwa, porzucił chojaka i, jakby chcąc wynagrodzić sobie stracony na ciągnięciu drzewa czas, zmykał, ile mu sił starczyło.

Rafael co chwila potykał się o pnie i leśne wykroty. Właśnie zaczepił nogą o korzeń drzewa i upadł, więc go Turek minął i wyprzedził. Znowu potknął się o korzeń i po raz drugi upadł. Teraz zrównali się oboje z biedronką. Upadł po raz trzeci i biedronka go wyprzedziła. Teraz uciekał na samym ostatku. Różowe i pachnące gałęzie wilczej jagody, potrącane przez uciekających przodem, były go po ustach i biednych oślepiłych od strachu oczach, targały za długie włosy, matczyną pieczętą, drapały po wypieszczonych rękach...

Wpadł wreszcie z lasu. Dziewczęta stały pod lasem, zbite w gromadkę i robiły toaletę. Najwidoczniej strach je ominął. Piękna Olesia okręcała sobie nagie ramię, niby wstążką, rozdartym od góry do dołu rękawem, Olga spinała rozdartą podobnie spodnicę, kozak oglądał do słońca dziurę w pasiatym szalu, a Iwanow z żalem przypatrywał się swoim szerokim, w czerwony aksamit przybrany ramionom. Widocznie teraz dopiero opamiętał się, że nie ma na sobie szynela. U nóg jego pracowity pasikonik zacieśniał rączkami i zębami węzły w chustce z chrustem, które się w biegu rozluźniły.

— Zgubiłam srebrne pieniążki, co mi dał je Turek — skarżyła się Marysia Kołodziejówna.

— A ja i pieniądz zgubiłam i niebieskie perły mi się rozerwały...

— A ja chustkę z głowy zgubiłam — żaliła się Agnieszka.

— Do krwi stłukłam sobie kolano.

— Ja szynel stracił...

— A ja fartuszek.

— Doprawdy widziałas leśnego, Agnieszko?

Agnieszka, zakłopotana nasunęła sobie jasne włosy na oczy.

— Coś mi mignęło było między malinami. Wydało mi się, że to leśnik Kuzio... Nie przyglądałam mu się, bo zaraz rzuciłam się do ucieczki. Pamiętam tylko, że był bez czapki i miał jakby spiczaste, obrosłe włosami uszy.

— Ja także go widziałam — wtrąciła Jadwisia Kołodziejówna. — Nie miał czapki, tylko na głowie rogi, niby cap...

I jezor czerwony okrutnie i na pół metra długi — dodała jej stryjeczna, znana bajczarka.

— Kłamiecie obie — odezwała się Olesia. — Gdy Agnieszka narobiła krzyku, wy najpierwsze rzuciłyście się do ucieczki, nie wiedząc nawet dobrze, czego uciekacie. Bieglyście obiedwie na samym przedzie, więc nie mogłyście niczego widzieć. Ja biegłam za wami, a przecież niczego nie widziałam.

— A wy przed kim tak dzielnie uciekaliście? — do-

pytywała się, chichocąc, Olga z myszką, Moskali. — A twierdziliście, że się Niemców nie boicie... Ty mówileś, że do samego Rzymu pójdziesz, a tymczasem ani jednego Niemca nie widziałeś, a uciekałeś i to na samym czele.

— Gdzieś ty, głupi Iwanow, Germańca zobaczył? — nie odpowiadając na przytyki Olgi, dopytywał się kozak Iwanowa.

— Widzieć, nie widział... Ale widziałem, jak uciekali drudzy, to i ja uciekał. Skąd ja mogłem wiedzieć, że dziewczętom tylko się coś zwidziało w malinach?

Z lasu wyszedł mizerny, ryży chłopina. Na plecach w szafirowym z czerwoną łatą fartuszką, niósł jakieś zioła, a w ryżych włosach pełno żdziebeł słomy. Zbliżył się do dziewcząt i przysłuchiwał się z uwagą rozmowie.

— Zuch żołnierz! Płaszcz zapomniął, a zmykał — śmiała się Olga z myszką.

— Cóż z tego, że zmykał — wstawiła się za Iwanowem biedronka — kiedy nawet sam panicz ze dworu uciekał!

— Aha, prawda! Panicz Rafael także z nami uciekał... Gdzie się podział? — oglądały się dziewczęta dookoła.

Panicz tymczasem stał z twarzą przyklejoną do pnia drzewa i nie śmiał się poruszyć, by go dziewczęta nie dostrzegły. Przez plecy chłopca przebiegały febryczne dreszcze, jakby lkał czy trząsł się z obrzydzenia i ohydy.

— Może panicz w lesie został...

A może nam się zwidział, jak Agnieszce leśny...

— Nie leśny jej się zwidział, tylko czart z jęzorem okrutnie czerwonym i długim na pół metra — zaszydziła z Maryśki nie lubiąca jej Olesia.

— Nie czart, tylko Paweł w mundurze z czerwonym kołnierzem — odpłaciła jej natychmiast pięknem za nadobne Marysia.

— A ja wam powiadam, że nie Paweł i nie czart, tylko „Germaniec“ — zerknęła złośliwie na saldatów Olga z myszką.

— Panicza, co prawda, nie widziałam w lesie — odezwał się z powagą ryży chłopina — ale coś niesamowitego w malinowych krzakach tam widział na własne oczy. To nie był leśny. Szedłem sobie popod maliny, zbierając dla siostry jegomości barwinek, co go będzie sadzić na żołnierskich mogiłach. Siostra jegomości dała mi na ten barwinek własny swój fartuch i obiecała dać koronę i kieliszek wódki za fatygę. Otóż idę sobie popod maliny, zbieram barwinek i rozmyślam o tej koronie, co ją dostanę, i o poczęstunku. Patrząc, a tu w krzakach coś leży, szare niby zajac.

— I zajac także uciekał z nami — wyrwała się Olga. — Nastąpiłam mu nogą na łapę. Zamiauczał, jak kot.

— Szare, niby zajac — ciągnął z niezmaconą powagą chłopina — ale większe od zajaca. Takie duże, jak pies, albo jak człowiek. Leżało na wznak, z rękoma podłożonemi pod głowę i gapiło się w sine niebo nad sobą. Myślę sobie: znajdę dzikiego człowieka po cichu, złapię, zwiążę i zaciągnę do jegomości, a siostra jegomości da mi za niego drugi kieliszek. Co chłopskiemu gospodarstwu po takim nabytku? Jegomość albo to ochrzczi, albo przypnie na łańcuchu do psiej budy, by mu razem z Burkiem plebanii pilnował. Nie moja w tem gło-

wa... Wyciągam postronek, com go miał w kieszeni... A to jak nie porwie się z ziemi, jak nie zabuczy, czy zatrąbi... Przejął mnie strach do szpiku kości, rzuciłem postronek i jak oślepy zacząłem gnać przed siebie... Ledwo na skraju lasu strach mnie nieco opuścił.

— Ani chybi „Germaniec“ — mruknął pod nosem Iwanow.

— A ilu ich było w malinach? — podejrzliwie oglądnął się kozak na las.

— Sprawiedliwie jeden.

— A prawda, że miał rogi? — wtrąciła swoje Jadwisia Kołodziejówna.

— Może i miał... — podrapał się chłopiec po głowie.

— Ani chybi, czart w germańskim mundurze — mruknął pod nosem kozak.

— Za nic w świecie — odezwała się Jadwisia, obracając w palcach jedyną szklaną perłę, która jej z całego sznura została — nie pójdę więcej do lasu.

— I ja także nie pójdę — zawtórowała jej stryjeczna.

— I ja także — dodała inna.

— I ja...

— Pan saldat — dygnęła grzecznie Agnieszka przed Iwanowem — wróci się do lasu po szynel — to mi moją chustkę przyniesie.

— Szynela się wyrzeknę, a nie pójdę tam więcej — wyrzekł z niezwykłą stanowczością Iwanow.

— To nie był leśny — powtarzał uparcie ryży chłopina. Znam przecie leśnego dobrze. Pokumaliśmy się ze sobą już ze cztery razy. To nie był leśny....

Jakby na potwierdzenie słów chłopka z lasu, z całkiem innej strony, niż malinowe zarośla, wychylił się leśnik Kuzio z fajeczką w zębach.

— Chodźmy do domu — zakomenderowała z pośpiechem Olesia.

I całe towarzystwo, brnąc dla krótszej drogi poprzek kałuży, ruszyło z powrotem. Za kałużą rozdzieliło się: Moskale poszli ścieżką przez pola ku bielącemu się w oddali dworowi, dziewczęta i ryży chłopina skręcili na drogę do wsi.

Wtedy dopiero Rafael odważył się odjąć twarz od pnia. Z chłopcem działo się coś dziwnego. Twarz miał jakby postarzałą, zmiętą, z krwawymi rumieńcami wstydu na policzkach, brwi ściągnięte i pionową bruzdę między niemi. Usta drżały mu jakby od wstrzymanego gwałtem płaczu.

— Znowu uciekli, psiewiary — zaklął leśny. — Dobrze, że choć wielkiej szkody dziś w lesie nie wyrządzili. Zaledwie jednego chojaka, i to pokreconego, zdążyli zrębać. Cały trzech koron nie warty. Odciągnęli go z dziesięć sążni i zostawili. Chodźmy, paniczu, oglądając...

Rafał, pochłonięty cały jedną myślą, niejasną jeszcze i niesformułowaną, zdawał się nie słyszeć, co stary do niego mówił.

— Nie czas żałować róż, kiedy lasy płoną... — szeptał sam do siebie przez zaciśnięte zęby.

Stary leśnik usłyszał, obejrzał się niespokojnie na las, a potem jeszcze niespokojniej na swego młodego pana. Las za nimi ani myślał płonąć. Ani dymu, ani płomienia. Nad lasem wprawdzie płynęła biała chmura, ale tak biała i tak wysoko, że niepodobna było ją uwa-

zać za smugę dymu. Rafael dostrzegł zaniepokojone spojrzenie starego leśnika i wybuchnął na cały las szerokim, młodym śmiechem.

— Bodaj ciebie, stary! Pomyślałeś sobie, że zwaryowałem... Nie wypieraj się! Nie wiele brakowało, żeby nie zwaryowałem naprawdę przed chwilą. Gdybyś był widział, jak ja... Nie, lepiej, żeś nie widział... Słuchaj stary — rzekł ciszej — przeprowadź mię na tamtą stronę... Jutro, nie dziś jeszcze, jak najprędzej...

— A paniczowi Rafaelowi tego po co? — zląkł się stary.

— Nie wiesz po co? — śmiał się Rafael swobodnie. — Pojadę sobie po nowy strój... Panna Krystyna niechaj sobie sama lasu pilnuje.

— Też się paniczowi stroić na te czasy zachciało — wydziwiał się zgorzony stary. — Niby do kogo? Panna Krystyna prawie matkąby panicza być mogła... Jeżeli pójdzie za którego z Pomianowskich, to chyba za pana Stefana.

Chłopcu drgnęły boleśnie roześmiane usta, ale w mgnieniu oka pohamował się.

— Jeszcze ci wszystkiego nie wypowiedziałem, stary, po co pojadę. Do nowego stroju potrzebny mi będzie karabin, szabla...

— Jezu miłosierny! — przerwał mu leśnik. — A co jasna pani na to wszystko powie?!

Chłopak machnął z niedbałym lekceważeniem ręką.

— Jak wrócę żywy, to mi matka przebaczy, a za-

biją mnie, to nie będzie miała komu wyrzutów robić. Popłaczę trochę i pójdzie sobie zapłakane oczy przypudrować... Pani bratowa, zamiast zwykłych turkusowych, zawiesi sobie w uszach kolczyki z czarnych pereł i pójdzie się przegłądać do zwierciadła, czy ładnie w nich wygląda. Wszystkie one jednakie.

— Paniczu, toć jeszcze żyjecie... Ta kulka, która, jak umyśleliście sobie, że was zabije, jeszcze pewno nie ulana.

— Ot, stary nałóg — roześmiał się panicz. — Wiesz, Kuziu, jak France powiedział?

— ?...

— Powiedział, że chce pozostawić o sobie pamięć w sercu kobiety, jest to chce odcisnąć ślad pierścienia... Ech, ty tego nie zrozumiesz...

— Nie zrozumiesz, zaraz nie zrozumiesz — obrazil się stary. — Przecie wiem co to jest Francya. Ta sama, co z nami teraz wojuje. Dlaczego nie miałbym zrozumieć, co ona mówi? Nasi chłopci także się po francusku nie uczyli, a poszli z francuskimi armatami rozmawiać.

Chłopak roześmiał się wesolo.

— Otóż ten France, który miał honor nazywać się tak samo jak jego ojczyzna, powiedział mniej więcej w sens taki, że wszystkie baby funta kłaków nie warte... Przeprowadzisz mnie stary?

— A cóż mam robić z paniczem Rafaelem? — rozłożył leśnik bezzadnie ręce — Przeprowadzę.



Lektura w okopach.

Fot. St. Janowski.